

Zaledwie drzwi się za nim zamknęły, pułkownik pospieszył przekręcić klucz w zamku, wziął walizę i umieścił ją na stole, przed którym usiadł. Twarz jego przybrała nagle wyraz dziwnie zuchwały, prawie dziki. Blask jakiś rozświetlił jego głębokie, ciemne oczy, czoło zbiegło się w pionowe, silne fałdy, a nozdrza zadrgały nerwowo.

Jednakże widok zawartości otwartej walizy nie mógł wywołać tak nagłego przeobrażenia. Znajdowały się tam tylko przybory toaletowe, koszule cienkie, haftowane chustki do nosa, rękawiczki, wydzielające silny zapach perfum.

Pułkownik zaledwie zwrócił na nie uwagę. Brutalnym ruchem zaczął przetrząsać rzeczy, odrzucając gorączkowo na podłogę rękawiczki i chustki. Zatrzymał się dopiero, kiedy palce jego dotknęły dna walizy.

I wtedy z jakimś dzikim, nieobliczalnym giestem, nacisnął sprężynę, ukrytą w płótnie, która odkryła natychmiast dno podwójne i wydobył schowaną tam dużą kopertę, zapieczętowaną czerwonym lakiem. Na widok tej koperty, głębokie westchnienie ulgi wyrwało się z jego piersi. Szybko złamał pieczęci, rozdarł niecierpliwie papier i wyjął kilka złożonych kartek, które rozłożył na stole. Wówczas spokojnie zaczął kartki te odczytywać. Jedne nosiły datę z Pondichery, drugie z Chandermaga, na kilku innych widniały pieczęci konsulatu francuskiego w Kalkucie.

— Tak, tak! — szepnął zadowolony. — O to mi właśnie chodziło! Nic nie brakuje. Ale akt? Najważniejszy akt? Czyżby nędznik jaki go wykradł? Ah, nie! To niemożliwe!

I nagle palce jego zacisnęły się kurczowo na kawałku pergaminu, który uszedł jego gorączkowym poszukiwaniom.

— Oto jest! — zawołał triumfująco. — Wiedziałem, że być tu musi. To akt zejścia! Gdybym się nie był zabrał w porę do tego, wszystko byłoby stracone!

Odetchnął raz jeszcze głęboko i spojrzenie jego badawcze i podejrzliwe pobiegło wokoło pokoju. Ale nie miał powodu do żadnego niepokoju. Z korytarza dochodził tylko stłumiony szelest kroków służby i podróźnych, przesuających się po schodach.

Wzruszył ramionami i uśmiechnął się z zadowoleniem. Powstał od stołu, raz jeszcze przejrzał zawartość koperty, zebrał wszystkie papiery razem i wrzucił je na płonący ogień. Prawie natychmiast jasny płomień wzbił się wysoko i wkrótce z papierów pozostały tylko popioły.

— No, pozbyłem się ich nareszcie! — szepnął radośnie. — Teraz już nie potrzebuję się niczego obawiać! Zanim duplikaty tych aktów nadejdą mogą do Francji, upłyną trzy długie miesiące — a przez ten czas usunę wszystkie przeszkody, stojące na mojej drodze.

Pułkownik Robert wyprostował wysmukłą swoją postać i pewnym, zuchwałym wzrokiem spojrzał przed siebie. Po chwili podszedł do drzwi i przycisnął guzik elektrycznego dzwonka.

Służący stanął na progu.

— Czy bagaże moje nadeszły już? — zapytał pułkownik.

— W tej chwili właśnie — objaśnił służący. — Jeżeli pan sobie życzy...

— Proszę je przynieść natychmiast!

W jakiś czas później przywieziono dwa duże kufry, które umieszczone zostały w gabinecie, przylegającym do pokoju.

Po odejściu służby, pułkownik przebrał się i wyszedł. Znalazłszy się na bulwarze, wszedł do przejeżdżającej dorożki i kazał się zawieźć na ulicę Castiglione. Na ulicy tej niedaleko ogrodu znajduje się agencja, trudniącą się sprzedażą i wynajmem will i domów.

Pułkownik Robert wszedł do biura.

— Proszę pana — rzekł do właściciela lokalu. — Przybyłem dziś rano do Paryża i zatrzymałem się w Grand-Hotelu, ale tylko tymczasowo. Pragnę bowiem wynająć willę umeblowaną, którąbym mógł zająć natychmiast. Sądzę, że mi pan coś odpowiedniego wynajdzie. Cena nie robi różnicy, aby tylko pertraktacje nastąpiły szybko.

Ajent skłonił się z uszanowaniem.

— Doskonale się składa — wyrzekł, uśmiechając się. — Właśnie mam od wczoraj willę do dyspozycji na bardzo dogodnych warunkach, ze stajnią, parkiem, wozownią.

— Gdzie się znajduje ta willa?

— Na polach elizejskich.

— Punkt dobry. Czy meble są w dobrym stanie?

— Są prawie zupełnie nowe. Willę tę odstępuje pewna młoda kobieta, która zrujnowała się na giełdzie i chce w ten sposób zaoszczędzić sobie wydatków, a nawet sprzedać.

— A więc ja będę nabywcą tej willi, jeżeli będzie dla mnie dogodną. Kiedyż będę mógł się do niej sprowadzić?

— Choćby dzisiaj jeszcze.

— Doskonale. Jaka jest cena wynajmu?

— Trzydzieści tysięcy franków, płatnych z góry.

— Trzydzieści tysięcy? Dobrze. Odliczę to później z ceny kupna, jeżeli się zdecyduję. Pójdę obejrzeć willę, a potem załatwimy sprawę.

— Dobrze, proszę pana.

— A więc do jutra, bo nie wiem, czy dzisiaj jeszcze uporam się z nawałem interesów, jakie mnie oczekują.

— Do jutra, panie pułkowniku — odparł agent, rzuciwszy przedtem spojrzenie na wręczony mu bilet wizytowy.

Pułkownik Robert wszedł do oczekującej na niego dorożki i rzucił rozkaz:

— Ulica Bel-Air 36, w St. Maudé.

W godzinę później powóz dojechał do miejsca przeznaczenia. Zapłaciwszy dorożkarza, pułkownik Robert wysiadł i wszedł do kamienicy dużej, oddzielonej od ulicy ogrodem kwiatowym i ochranionej wysokimi, żelaznymi sztachetami. Nad bramą wchodową wisiała szeroka tablica czarna, na której odcinał się napis, wyryty białymi literami: „Pensjonat wychowawczy, ogród i obszerny dziedziniec do zabaw i gier“.

Pułkownik podszedł do furtki i zadzwonił. Otworzyła mu stara, zgarbiona kobieta.

— Pani Bourgeois? — zapytał.

— To tutaj. Proszę wejść!

Pułkownik wszedł do ogrodu i długą aleją doszedł do domu, mieszczącego się w głębi. Zaprowadzono go natychmiast do dużego salonu, gdzie pozostał sam na chwilę.

W parę minut drzwi otworzyły się i na progu stanęła pani Bourgeois. Była to kobieta czterdziestoletnia, o sztywnym i zimnym zachowaniu, ruchach poważnych i wymierzonych.

— Zdaje mi się, że mnie pani nie poznaje — rzekł pułkownik, kłaniając się.

— Rzeczywiście — odparła dyrektorka zakładu.

— Pułkownik Robert.

— Ah, przepraszam pana najmocniej! Przypominam sobie teraz doskonale! Niech mi pan wybaczyć zechce, ale tak dawno nie widziałam pana.

— Zdaje się, że sześć miesięcy.

— Ma pan słuszość.

— W czasie tym zamierzałem odbyć dłuższą podróż i powierzyłem opiece pani młodą pannikę...

— Krewną pana.

— Tak jest.

— Gilbertę.

— Tak! Gilbertę, sierotę, którą zająłem się i wydobyłem z ciężkiego położenia, w jakim się znajdowała.

Pani Bourgeois uśmiechnęła się życzliwie.

— O, zaręczam panu, że pamiętam doskonale zwierzenie, uczynione mi przez pana. Okażał się pan tak dobrym i wspaniałomyślnym dla tego biednego dziecka! I zdaje mi się, że nie pożałuje pan nigdy tego czynu.

— A więc pani jest zadowolona z Gilberty?

— To najbardziej uległa i najlepsza z moich pensjonarek — odparła żywo pani Bourgeois.

— Przekonanie to cieszy mnie niewymownie!

— Czy pan przychodzi mi ją może zabrać?

— Nie, proszę pani! Przynajmniej nie na razie. Pragnieniem moim jest pozostawić ją jeszcze czas jakiś pod kierunkiem pani. Mam nadzieję, że stan jej zdrowia jest zadawalniający obecnie?

Pani Bourgeois nie dała odpowiedzi, tylko czoło jej pokryło się cieniem jakimś.

Pułkownik Robert zbliżył lekko i, ujmując ją za rękę, wymówił drżącym głosem:

— Pani milczy? Czyżby Gilberta była chora?

Pani Bourgeois zaprotestowała ruchem ręki.

— Nie, nie! — odpowiedziała. — Niech się pan nie niepokoi! Gilberta jest zdrowa i szczęśliwa, tylko od paru tygodni zauważyłam, że...

— Co takiego, pani Bourgeois?

— Oh, nic tak ważnego zresztą. Zauważyłam, że posmutniała trochę. Weselość jej zniknęła, ustępując miejsca jakiejś dziwnej melancholii. Słowem, zdaje mi się, że jakiś tajemniczy powód jest tego przyczyną.

— Czy to możliwe?

— Przesadza może przez życzliwość dla tego dziecka... Jednakże przyznać muszę, że zmieniła się bardzo i podejrzewam, że jakieś myśli niepokojące dręczą ją.

Czoło pułkownika Roberta pokryło się zmarszczkami.

— Słowa pani zmieniają moją decyzję. Nie chciałem jej jeszcze powiadomić o moim powrocie, ale to wszystko niepokoić mnie zaczyna i pragnę wyjaśnić tę zmianę jej usposobienia.

— Pan pułkownik chce się z nią zobaczyć?

— Tak.

— Ale pan się nie będzie gniewał na nią — prosiła dyrektorka. — Ona jest taka wrażliwa!

Pułkownik uściśnął rękę pani Bourgeois.

— Niech pani będzie spokojna — rzekł, uśmiechając się. — Znam ją również dobrze jak i pani i nie chciałbym jej uczynić przykrości. Proszę teraz iść po Gilbertę, ale niech pan jej nie mówi, kto na nią oczekuje.

Pani Bourgeois wyszła natychmiast, a pułkownik Robert pozostał sam, przechadzając się w zamyśleniu po salonie.

## VIII.

Oczekiwanie zresztą nie trwało długo. Upłynęło zaledwie kilka minut, kiedy delikatne kroki rozległy się na korytarzu i w drzwiach stanęła młoda, ładna dziewczyna.

Gilberta kończyła lat siedmnaście; była szczupła i wysoka. Gęste, jasne włosy otaczały jej gładkie, białe czoło, tworzące oryginalny kontrast z dużymi, czarnymi oczami o wyrazie melancholijnym i łagodnym.

Weszła uśmiechnięta, ożywiona, ale jak tylko spostrzegła pułkownika, twarz jej pokryła się lekką bladnością.

— Pan Robert! — szepnęła słabym głosem. Stanęła, nie śmiejąc postąpić naprzód.

Pułkownik podszedł do niej i łagodnie ujął jej rękę.

— Kochane dziecko! — rzekł serdecznym głosem. — Co ci jest? Dlaczego tak drżysz przedemną?

— Bo...

— Bo co, Gilberto?

— Nie uprzedzono mnie... nie oczekiwałam przybycia pana tak prędko...

Pułkownik Robert dotknął jej czoła ustami.

— Rozumiem — rzekł — i źle uczyniłem nie uprzedzając cię. Nie miałem zamiaru widzieć się z tobą dziś jeszcze, ale tak pragnąłem wiadomości o tobie.

— Oh! Jaki pan dobry! — przerwała młoda dziewczyna.

— Kocham cię, Gilberto, i wszystko co ciebie się tyczy, interesuje mnie silnie. Ot, widział... Przybyłem do Paryża po długiej i uciążliwej podróży i natychmiast chciałem dowiedzieć się coś o tobie, czy nie bardzo nudziłaś się tutaj w pensjonacie tej samej pani Bourgeois i czy stan twojego zdrowia jest zadawalniający.

Zmieszanie, które zdradziła Gilberta na widok swojego opiekuna, ustąpiło już w części i delikatne rumieńce wystąpiły na jej twarzy delikatną.

— Nie zapomnę nigdy — rzekła wzruszonym głosem — dobroci, jaką mi pan zawsze okazuje. Byłam taka nieszczęśliwa, kiedy pan przyszedł mnie zabrać ze sobą. Ci robotnicy, którzy mnie przyjęli do siebie, kiedy zostałam sierotą, byli często okrutni i niesprawiedliwi dla mnie. Byłabym tam umarła z żalu i głodu! Ale los chciał inaczej i zesłał mi pana na ratunek. Wyrwał mnie pan z ich rąk niegodziwych i oddał pod opiekę najzaczniejszej kobiety, gdzie odnalazłam spokój i szczęście. Oto, panie Robercie, rzeczy, które zawsze pamiętać będę i za które gorącą wdzięczność czuję dla pana.

— Jesteś dobrem dzieckiem, Gilberto — odparł pułkownik — i słowa twoje wielką mi sprawiają przyjemność. W dniu, w którym cię spotkałem, jakieś głębokie uczucie pociągnęło mnie do ciebie i zrozumiałem, że jesteś przeznaczona do odegrania ważnej roli w moim życiu.

— Co pan mówi, panie Robercie?

— Wyjaśnię ci wszystko, kiedyś w przyszłości. Widzisz, Gilberto, życie i mnie doświadczyło okrutnie i chociaż stosunkowo nie jestem jeszcze starym człowiekiem, cierpiełam już wiele.

— Czy to możliwe?

(Ciąg dalszy nastąpi.)